XXIII. Kraków, 1 czerwca 1920 r. Nr. 11.

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 28 M. 50 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 670

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień“, Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 5 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 5 Marek.



— Ile dałaś za ten penioar?
— Hm!... To się nie da obliczyć.

Od Administracyi.

Z powodu nowej podwyżki cen papieru, wynoszącej przeszło 100 procent, podniesienia opłat pocztowych, które wynoszą obecnie 15 procent od ceny prenumeraty, wreszcie automatycznej podwyżki płac personalu drukarskiego i rosnącej z dnia na dzień drożyzny wszelkich środków niezbędnych przy wydawnictwie czasopisma zniewoleni jesteśmy do nowego uregulowania prenumeraty.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową od 1-go czerwca 1920 r. wynosi:

Rocznie	Mk. 114·00
Półrocznie	„ 57·00
Kwartalnie	„ 28·50
Pojedynczy egzemplarz	„ 5·—

Nieporozumienie.

„Przyszedł mróz na psa“, jak mówi przysłowie; pan Stefan, choć obiecywał sobie, że zostanie starym kawalerem do śmierci, zatęsknił do ogniska domowego i postanowił się ożenić, aby mu miał kto podawać rano do łóżka gorącą kawę, cerować skarpetki, przyszywać guziki, gotować obiad — słowem spełniać to, o co kawalorowi tak trudno, a do czego tak wzdycha.

I uczynił, jak zamierzył, a że nie był płochy, wziął sobie za dozgonną towarzyszkę starszą już panienkę, ale taką, o której gospodarskich zdolnościach mówiło całe miasto.

Odbył się ślub, po ślubie uczta weselna w gronie najbliższej rodziny, poczem państwo tak zwani, młodzi, odeszli do małżeńskiej sypialni, odprowadzeni do drzwi przez teściową, która swej jedynej córce dawała ostatnie wskazówki, oparte na wieloletniem doświadczeniu, na nową drogę żywota.

Pan Stefan, znalazłszy się z żoną w sypialni, rozebrał się najspokojniej, powiedział żonie „dobranoc“ i położył się do łóżka.

Trzeba jednak dodać, że pan Stefan miał zwyczaj stawiać na noc koło łóżka dwie butelki piwa, które mu sprowadzało błogosławiony sen, jeżeli się w nocy obudził.

I dziś uczynił to samo, ale troskliwa teściowa, bojąc się, by mu nadmiar trunku nie zaszkodził w tak ważnej chwili (bo to przecież musiał pić więcej, niż zwykle, podczas uczty weselnej) — jedną flaszkę przedtem usunęła...

Głęboka cisza zaległa małżeńską komnatę, słychać jedynie tykanie zegarka i głębokie oddechy państwa młodych, spędzających w tak prozaiczny sposób noc poślubną...

Spali w samej rzeczy, nie spała tylko teściowa i pilnie nadsłuchiwała...

Niestety, oczekiwania jej zdawały się być daremne!...

Nagle do uszu jej dochodzi jakiś wyraźniejszy ruch w sypialni, poznaje dmuchanie i sapanie pana Stefana, a potem słyszy półgłosem wypowiedziane słowa:

— Oho!... ktoś tu już był!... Ciekaw jestem, kto taki...

W tej samej chwili z poza drzwi odezwała się teściowa najsłodszym, na jaki się mogła tylko zdobyć, głosem:

— Przysięgam ci, kochany zięciu, że jesteś pierwszy!... To już u nas familijne... Córka odziedziczyła to po mnie!... I mnie swojego czasu mój ś. p. mąż czynił z tego powodu w ową pierwszą noc podobnie niesłuszne wyrzuty!...

Nazajutrz dopiero wyjaśniło się nieporozumienie, które polegało na tem, że pan Stefan, obudziwszy się w nocy, sięgnął w stronę flaszek z piwem, a przekonawszy się, że jest tam tylko jedna, choć własnoręcznie dwie postawił, dał głośny wyraz swemu niezadowoleniu, a nadsłuchująca teściowa, jako kochająca matka, źle słowa jego zrozumiała i uznała za stosowne stanąć w obronie honoru swej córki...

Handel zamienny.

— To mi się jednak nie podoba, że nasi spekulanci wywożą wciąż towary do Niemiec!...

— Nie masz się czemu dziwić!... Dziś handel zamienny jest na porządku dziennym!...

— A cóż oni dają nam w zamian?...

— Jakto?... Nie czytałeś w *Kuryerze*, że z Katowic do Sosnowca wysłano cztery wagony żydowskich dezerterów wojskowych?...



Obserwacyę z ulicy.

Idąc w deszczyk przez ulicę,
Spoglądam z rozkoszą,
Jak niewiasty pięknolice
Sukienki unoszą.

Kiedy suną wdzięczne wróżki,
Dzielne cnót westalki —
Ja nie patrzę się na nóżki,
Lecz tylko na halki.

Najważniejsza część ubrania
Możnej i ubogiej —
Jest mi kluczem do poznania
Damskiej psychologii.

Stąd ni dama, ani gejsza
W sieć mnie nieomota —
Wiem: im halka kosztowniejsza,
Tem mniej warta... cnota

Z chwili.

Ministerstwo skarbu wydało zakaz sprowadzania w granice Polski niektórych towarów uznanych jako przedmioty zbytku. Do nich zaliczono między innymi i wody mineralne. Poczyniono jednak pewne wyjątki. I tak zbytku nie stanowią wody gorzkie, służące jako lekarstwo na przeczyszczenie: Apenta, Hunyady, Franciszka Józefa.

Czy ministerstwo miało racyę?... Zdaje się, że nie!... W dzisiejszych warunkach używanie gorzkiej wody to luksus. Dziś każdy jest bardzo zadowolony, jeśli spożyty pokarm leży mu jak najdłużej w żołądku!

* * *

W sprawozdaniu sportowem z matchu footballowego czytamy: „Tyły Jutrzenki pracowały planowo i energicznie...“ Wyobraźmy sobie, z jakim to było połączone kosztem, gdy mydło takie drogie, a praczki każą sobie płacić tak słono.

Bohaterowie z pod Koziego Ogona.

(Z niewydanych dotąd „Dziejów wielkiej wojny“).

Na odcinku frontu wschodniego ulokowana była, jako rezerwa, pod „Kozim Ogonem“ i w jego najbliższem sąsiedztwie, brygada austryackiego landszturmu, zostająca pod rozkazami pułkownika *von Schwerenöter*.

Siedzibą komendy był sam „Kozi Ogon“, tutaj też rezydowały dwie najważniejsze osoby w brygadzie: pan pułkownik i sierżant rachunkowy, Izrael Baumann, zwany przez żołnierzy popularnie „bałwan“, co go doprowadzało do prawdziwie szewskiej pasyi, choć z fachu był krawcem, a ci ludzie, jak powszechnie wiadomo, są zazwyczaj łagodnego usposobienia.

Pan pułkownik i pan sierżant nie byli bynajmniej zadowoleni z pobytu pod „Kozim Ogonem“, ale każdy z nich z innego powodu.

Pan pułkownik był idealistą i rad byłby, gdyby się zdarzyła sposobność odznaczenia się, ale tanim kosztem, nie narażając się na bohaterską śmierć na polu chwały. A o sposobność do takiego odznaczenia się na tyłach trudno. Mógł się wprawdzie starać o przeniesienie na linię bojową, ale idealizm jego tak daleko nie był posunięty. Zbyt kochał życie, by je narażać, choćby dla c. k. ojczyzny!

A dałby wiele, nawet całomiesięczną swą gażę wraz z dodatkiem wojennym, gdyby się bodaj raz znaleźć między bohaterami, których nazwiska podawały potomnym codziennie komunikaty, podpisywane przez pana *Höfera*.

Sierżant natomiast był więcej materyalistą, i żałował, że w takiej, jak sam mówił „śmierdzącej dziurze“ musi nadarmo czas tracić, gdy tymczasem gdzieindziej możnaby łatwo połączyć pożyteczne z przyjemnem i równocześnie pełnić służbę dla ojczyzny i robić interesy dla siebie. Na front bardzo się nie rwał, uważał, że jakieś większe miasto na tyłach byłoby odpowiedniejsze dla jego działalności.

Chodzili też obaj źli i starali się, nie mając nic lepszego do roboty, o wyszukiwanie ofiar, w których stronę możnaby wyładować nadmiar swej nagromadzonej energii.

Obu przychodziło to łatwo, panu pułkownikowi łatwiej. Do jego ofiar należał i sierżant, znajdujący się, jako „szef kancelaryi brygady“, staje w jego bezpośrednim sąsiedztwie.

Ale „bałwanem“ zwały pana sierżanta tylko głupie chamy, on miał *kepele* i umiał sobie radzić.

Popołudniu przyszedł pan pułkownik do swej kancelaryi w gorszem niż zwykle usposobieniu.

Nie miał szczęścia, przegrywał bowiem stale w taroka, do którego zasiadał codziennie po obiedzie z kapelanem i lekarzem pułkowym.

I dziś przegrał. Kapelan, wstając, zauważył z przekąsem.

— Pułkownik musi mieć chyba dyabelne szczęście w miłości!...

To go rozindyczyło jeszcze bardziej. On kochał, ale tylko Austryę, niestety bez wzajemności, bo już dwukrotnie zapomniała o nim przy awansie, choć mu się należał, jeśli nie dla zasług, to z wieku.

Zbeształ najpierw bez powodu adjutanta, i, choć deszcz lał jak z cebra wysłał go do sąsiedniej wsi na inspekcyę.

Kolej przyszła na Baumanna, gdyż nikogo więcej w kancelaryi nie było, ale on widocznie przeczuwając, co będzie, opracował jakiś plan, rozłożył bowiem na biurku komendanta najświeższy komunikat sztabu jeneralnego.

Pułkownik rzucił okiem na papier, zagłębił się w czytaniu, potem mruknął:

— *Sakrament!*... Znów się odznaczył Kahlkopf... A to osioł, gdzie jemu do mnie!... Ale trudno, skoro losy wpakowały człowieka w taką dziurę, gdzie o jakiem zwycięstwie, wzięciu jeńców do niewoli i zdobyczy wojennej ani mowy!...

Na to widocznie czekał tylko sierżant sztabowy, Izrael Baumann, gdyż rzekł:

— Przepraszam pokornie, pan pułkownik potrzebuje jeńce?...

— Pewnie, że potrzebuję! — wrzasnął jak tygrys, gdy mu słoń nadepta na koniec ogona. — Ale, skąd ich tu wziąć?...

— Ja si mogę postarać!...

— Feldwebel?...

— Tak jest, ja!... To jest właściwie nie ja, ale mój szwagier, Szloma Pasternak, który jest karczmarzem w tej wsi... On nam może dostarczyć jeńce!...

— Skądże ich weźmie, skoro jesteśmy kilka mil za linią bojową?...

— Ja tam nie wiem!... Ale to ja wiem, co on może każdej chwili dostarczyć nam jeńce ile pan pułkownik potrzebuje!... On niedawno dostarczył panu jenerałowi Ochsenhornowi sto pięćdziesiąt jeńce, a w tem całe pięćdziesiąt sztuk same carskie gwardzisty... Ani jeden mniej, ani jeden więcej...

— To ciekawe!... — mruknął pan pułkownik, ale robak wlazł mu w serce, gdyż właśnie Ochsenhorn „przeskoczył go w awansie“ i z tego powodu czuł do niego urazę.

Z motywów ludowych.

Oj, kwiczy prosiak w chlewku,
Oj, jęczy wichr z hałasem.
Oj, dudni tartak wodny,
Oj, wyje wilk pod lasem...

Oj, becą owce, becą,
Oj, szumi wartka rzeka,
Oj, ryczy byk w oborze,
Oj, sceka kundel, sceka...

Lec wszystek ten harmider
Jest nicem razem w kupie —
Bo baba go przekrzycy
Gderaniem swem w chałupie!...

Rozsypane telegramy

czyli jakie fatalne skutki może mieć nieuwaga metrampaża.

Nauen. Agencya Havasa donosi z Konstantynopola, iż stacyonowane tamże kolorowe wojska koalicyi otrzymały rozkaz wymarszu do Cylicyi... celem poprawienia rasy.

* * *

Warszawa. PAT donosi, iż ministerstwo rolnictwa zakupiło pewną liczbę rasowego bydła holenderskiego dla Małopolski... wobec wzmagających się tamże coraz bardziej rozruchów nacyonalistycznych.

Z domowych kłopotow.

(Rozmowa dwu przyjaciół.)

— Powiadam panu, w domu mam istne piekło!... Żona nie może się zgodzić ze sługą i kłócą się dzień cały...

— Na to jedyna rada, napędzić sługę!...

— Nie ma głupich!... Sługi, która tak gotuje, a ma tak małe wymagania, nie znajdę w dzisiejszych czasach!... Wolę raczej wziąć rozwód ze żoną!... Może Pan Bóg da, że drugi raz mi się poszczęści i trafię na lepszą!...

Sielanka

Na drodze wiodącej od rogatki w głąb miasta, pojawia się wieśniak, niosąc pod pachą sporego koguta. Towar to w Krakowie bardzo pożądany, co krok spotyka więc nabywców. Ale kmiotek odpowiada każdemu, że kogut nie jest do sprzedania.

Znalazł się przecież ciekawy, który zapytał:

— Skoro nie jest do sprzedania, to pocóż go niesiecie do miasta?

— A do zegarmistrza, proszę łaski pana — odpowiada na to zagadnięty. — Nie wiem, co mu się stało, ale od jakiegoś czasu pieje na północ całą godzinę wcześniej!.. Może zegarmistrz co na to poradzi?...

Złośliwy.

Do fijakra, zajmując miejsce w powozie, zwraca się wyfraczony młodzieniec ze słowami:

— Do kościoła Kapucynów!... Ale co koń wyskoczy!...

Słysząc to, pyta odprowadzający go towarzysz:

— A dlaczego tak się spieszysz!

— O dziesiątej ślub Karola, a tu dziesiąta za minutę!... Boję się, bym się nie spóźnił!...

— Daj sobie spokój!... Jego już nie uratujesz!... Ratuj raczej sam siebie, boś gotów pójść za jego przykładem!...

Także coś!...

— Wyobraź pani sobie, mojemu mężowi ubzdurało się, że nasze najmłodsze dziecko jest do niego podobne i ani rusz wybić mu to z głowy!... A pani chyba wie, jaki to niedołęga!...





Starowina...

Pytaniami wszystkich nudzi,
I zaczepia co dnia
Ptaki, chmury, nawet ludzi,
Każdego przechodnia...

Wszyscy się już z niego śmieją
Szczerzę lub obłudnię —
On zaś żyję wciąż nadzieją,
Coraz bardziej chudnię...

Dziś już patrzy w jedną stronę
I wzdycha okropnię —
Słońcę poszło spać znudzonę,
Zrobiło roztropnię...

Księżyc wyszedł już z gospody,
Po niebię się toczy,
Zrumienionę ma jagody
I nabrzękłę oczy...

Podpił sobię starowina,
Tacza się wśród drogi,
Do kobiet się brać zaczyna,
A tę przed nim w nogi...

Więc niechętnię idzię dalej,
Gorzko się uśmiecha,
Mrucząc: „Dyabli to nadali".
„Starość nię ucieka!"

„Oj kobietki! ród zdradliwy,
Każda z nich jest płocha,
Dziś dlatego, żem już siwy,
Żadna mnię nię kocha"...

Młodość za to miałem sławną,
Kochały mnię więcej,
A to temu tak niedawno,
Lat sześćdziesiąt... więcej!...

— Skądże ten Szloma weźmie tych jeńców? — badał ciekawie pan pułkownik.

— Skąd?... Albo ja wiem?... Ale mnie si zdaje, że oni się zwiedzieli, że u niego jest tania i dobra wódka i tu się nocą przekradają... A on jest wielki patryotnik... Jak oni tylko przyjdą, zaraz daje znać do naszej komendy, przychodzi się i zabiera jak swoich!...

— I oni potrafią się dostać tak łatwo za naszą linię?...

— Tak, panie pułkowniku!... To cholery, te Moskale!... Oni tak ciągną za wódką, jak karakony lub Niemcy do piwa... Za „oczyszczoną" poszliby do piekła... Jak pan pułkownik każe, to ja mogę jeszcze dzisiaj ze szwagrem pogadać!...

Ziarno padło na rolę urodzajną i zeszło rychło... Pogadali, wieczorem pan sierżant poszedł do szwagra, a nazajutrz rano, gdy pan pułkownik wyszedł na podwórze, oczom jego przedstawił się dziwny widok. Przed budynkiem, w którym mieściła się komenda, oczekiwał oddział dwudziestu całkiem oryginalnych Moskali, eskortowany przez Szlomę Pasternaka, który właśnie targował się z Baumannem.

Radość wstąpiła w mężną pierś pułkownika!... Zapomniał, po co wyszedł z mieszkania... Wrócił do pokoju, za chwilę znalazł się tam sierżant, za nim wsunął się Szloma. Jak mówiono, co mówiono, o tem historya milczy, to jest pewne, że Szloma opuścił zadowolony komendę, jeńców zamknięto pod strażą w stodole, a pan pułkownik zabrał się do pisania raportu do komendy dywizyi.

— Popękają ze złości — mówił do siebie — że ja, gdzieś w tyle, pod „Kozim Ogonem", a mam jeńców!... Niech jednak wiedzą, z kim mają do czynienia!...

I obiad mu dziś smakował wygrał nawet w taroka, łupiąc kapelanowi pagata, słowem dzień dzisiejszy był dlań prawdziwie dniem słonecznym, choć niebo było chmurami pokryte...

Popołudniu układał dalej pan pułkownik swój raport o „zasadzce", jaką urządził na wroga, przyczem udało mu się wziąć dwudziestu jeńców, gdy do drzwi ktoś dyskretnie zapukał. Gdy się otwarły, wsunęła się w nie głowa jakiegoś żyda, za nią reszta jego ciała.

— Przepraszam!... — rzekł, kłaniając się całem ciałem i jarmułką. — Ja potrzebowałem słyszeć, co pan jenerał potrzebuje jeńce?...

— Jeńce?...

— Tak!... Jeńce!... Ja ich mogę panu jenerałowi kuždej chwili dostarczyć sto pięćdziesiąt sztuki...

— Sto pięćdziesiąt?...

— Sto pięćdziesiąt!... Gwardzisty, jegry, dragony, kozaki... Sztuka w sztukę po dwadzieścia pięć koron... A w dodatku, to ja dodam jeszcze zepsuty karabin maszynowy, bo ja si boim, aby nie wystrzelniał... Ja wim, co pan jenerał kupował od Pasternaka dwadzieścia jeńce po pięćdziesiąt koron...

— A któż pan jesteś?...

— Nu?... Ja?... Ja potrzebuję być szwagier od Pasternaka... ale my sie gniewamy!... Ja trzymam karczmę w sąsiedniej wsi!...

Interes, zdaje się, doszedł do skutku, gdyż nowy gość opuścił zadowolony kancelaryę, zapewniając, że wróci wieczór i przyprowadzi jeńców!...

W sieni sierżant sztabowy, Baumann, robił mu wymówki, dlaczego swój „towar" odstąpił tak tanio, gdy mógł dostać po pięćdziesiąt, a może więcej, zwłaszcza ze względu na ten karabin maszynowy...

— Ja panu coś powim!... — szwargotał żydek, widząc współwyznawcę. — Ja nie jestem wcale stratny na tym interesie. bo te Moskale dali mi po pięćdziesiąt rubli, aby ich zaprowadzić do Austryaków... Już mają dość tej wojny!... A ten karabin?... Ja nie chcę mieć pod swoim dachem takie paskudztwo... A oni to przynieśli!...

— — — — — — — — — — — —

W kilka dni potem czytano w komunikacie rządowym sztabu jeneralnego, co następuje:

„Na odcinku frontu wschodniego, bezpośrednio pod „Kozim Ogonem", udało się naszym dzielnym wojskom wciągnąć w zasadzkę nie przeczuwającego podstępu nieprzyjaciela. Wzięto wszystkich jeńców, zdobyto jeden karabin maszynowy. Dalsze postępy naszego oręża na tym odcinku są spodziewane.

Komendant brygady i pułkownik von Schwerenöter za ten czyn bohaterski ozdobiony został orderem żelaznej korony trzeciej klasy z dekoracyą wojenną, sierżant sztabowy Izrael Baumann, otrzymał złoty medal waleczności, za męstwo okazane wobec nieprzyjaciela"...





— Spiesz się moja droga!... Goście się już niecierpliwią.

— Co mi to za goście, 70-letni kapitan i stary radca tabetyk!



— Co znaczy ta sznurówka na ziemi?

— Ty wiesz, że ja przy gościach nie krępuję się niczem!

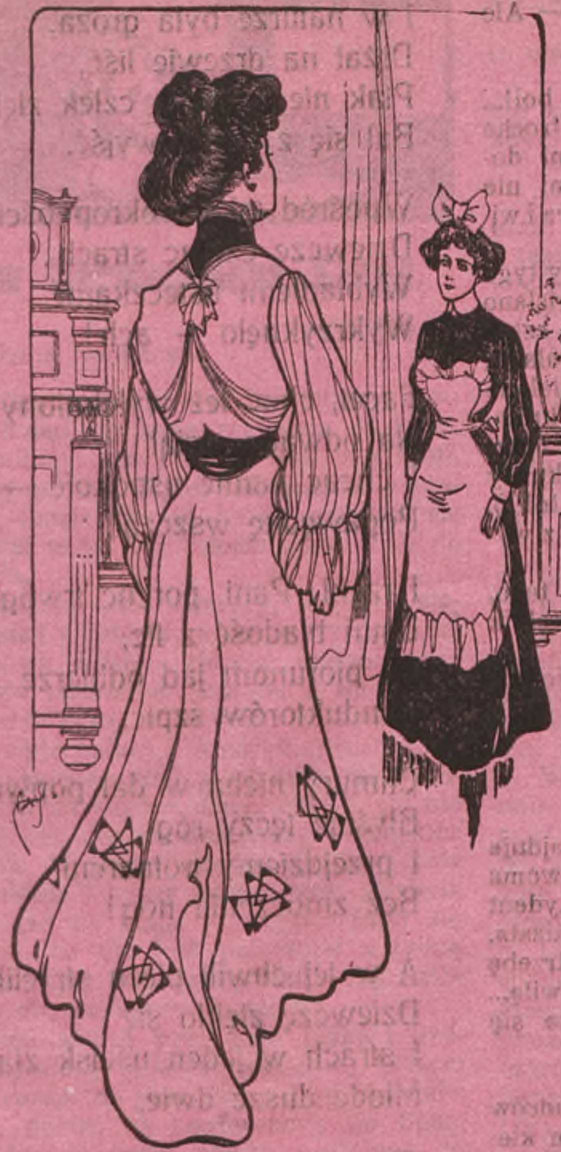


— Czy znasz tę baletnicę?

— Tak! twarzy nie widziałem, ale po nogach poznałem zaraz!



— Jestem hr. Patafian!... Czy może mnie pani odprowadzić?



— Czy był tu kto w mojej nieobecności?
— W nieobecności nie, ale w sypialni!...
Był wielmożny pan z kucharką.



— Jako adwokat jestem za rozwodem pani,
jako jej przyjaciel i swój także, namawiam
panią do zgody z mężem!



— Gdzie się pan ubiera?
— Na rogu u Drapsa!
— U jakiego Drapsa?
— No tam! widzisz: „Magasin de draps".



Rybaczka. Hola! dziewczę stój!
Nie tutaj połów twój!
Gdzieindziej zarzuć zdradną sieć,
Obfity połów będziesz mieć!

Ferdek Eleuteryk.



Mój koliga po piórze, Wicek Socyalik z *Dyabłem* siuchty mający, labidzi, że w maju było zadużo świntowanio, tak, że międzynarodowy naród pracujący w żaden sposób nie mógł się zabrać do roboty.

Ale przecie od tygo jest maj, by się cieszyć wiosnom, która dopiro się zaczena, a już się kończy. Mioł tyż recht mędrzec Pański, który śpiwoł: „Do świntego Ducha nie zdyjmuj kożucha, a po świntym Duchu chodź także w kożuchu"... naturalnie, jeżeli z ciebie taki burżuj, że se możesz na podobny zbytek być pozwalający.

Rozłazi się jednak o to, czy koliga Wicek mioł powód do narzykanio. Podrapawszy sie po makuwie, aby spędzić w jedną kupe, naturalnie myśli, a nie co innygo, trza Wickowi najsłusznijszą słuszność być przyznającym. Jeżeli są świnta, to po to, aby je świntować, a u nos robi sie to bez próżniactwo, obżarstwo i pijaństwo.

I w tym właśnie sęk, a w tym sęku z przeproszyniem dziura, że teroz we świnta próżnować się musi, bo tak koże palegrof, ale z obżarstwa i pijaństwa to nici.

I próżniactwo z musu nie jest przyjimne. W wolnyj Polsce powinien kużdy robić wtedy, kiedy mu sie chce, a nie kiedy mu kożą.

Co sie tyczy onygo obżarstwa i pijaństwa, to jest tak źle, że gorzyj cheba być nimoże. Kużdy z nos głoduje, a z głodowanio staje się coraz bardzij eteryczny, niczym staro brzana, w paninstwie dni swoje pendząco, i, ulicą idący, musi sie być z tyłu za frak trzymający, aby go wiater nie porwoł i nie kozoł mu tańcować z magistrackiemi śmieciami.

Wozignojki, tak ze szlacheckigo rodu, jak i biedronie, sprzedają zboże i inksze rzeczy, ale ino na pasek, to samo robią męczybuły i golibyki, oraz podobne inne przemysłowce, a mieszkaniec miasta może łape lizać i cieszyć sie nadzieją, że bedzie jeszcze kiedyś lepij.

A spytaj sie kogo, kużdy odpowi ci: „W maju!..."

Tymczasem maj się skończył, a lepij nie jest, choć dostaliśmy nową Radę aprowizacyjną, która, jak to słuśnie rzeknon jeden szmaciorz, mo niczym Samson być z paskarskimi Filistynami walcząco. Niech se walczy, jeżeli jej to sprawi przyjemność, ale niech bedzie pamintająco, aby nie używała tyj samyj broni, co Samson. Samo godanie nie wystarczy, a paskorz nic se z nigo nie jest robiący.

Za dawnych czasów, gdy komu co doligało, szed do Siapsi, abo do Hawyłki i tam se na zgryza móg być cyc urządzający. Dziś cyce należom do historyi, bo teroz nima co i za co, a niedługo nie bedzie i gdzie, bo Syjm chce, aby Polska była nie tylko samodzielno i zjednoczono, ale i eleuteryczno. Siapsia już dziś chodzi, jak struty i powtarzo cingiem: „Oj waj!... Oj waj!..." Panie Ferdek, co bedzi?... Gdzie pon poknajo, gdy panu bedzi co na wnątrzu gryzące?...

I cóż mu na to odpowiedzieć?... Choć to maj, zrobiłem całkiem nie majową minę i rzeke:

— Bedziemy łykać świże powietrze!... Pon fizyk godo, że dyeta, to grunt, a majestrat na to konto nie staro sie, aby było co w jadaczke włożyć!...

— To głupstwo! — Siapsia na to. — Ale czem chroboka zalać?...

— To bida!

— Ale niech sie pon Ferdek nie boi!... U mnie bedzie zaroz wódeczka, choć troche droższa jak teroz. Wtedy kużdy musi mi dopłacić za strach, że sprzedaje, choć mi nie wolno!... Ale, czego si nie zrobi dla dobra i wigody panów obiwatelów?...

W takich warunkach to i z Bielan były tygo roku nici, bo samo świże powietrze i wiślano woda, to mało do szczęścio. Siedzioł człek w mieście i obradowoł razem ze szpadałami, którzy w Krakowie wielgi syjm byli w Zielone Swinta urządzający. Mieli wybrać swego króla, a potym na jego cześć urządzić wielgi *blaumontag,* ale do wyboru nie doszło, bo kużdy chcioł być królem (godoł, że stać go na to!...), a *blaumontag* spod z porządku dziennego z wyżej podanych powodów.

A jeżeli szpadały nawet cieszą się z tego, że łupią, cóż dopiero taki zwykły śmiertelnik jak niżyj nie pogrypsany?...

Ale będzie lepiej, ino niewiedzieć kiedy...

W „cichym kąciku".

W „cichym kąciku", który się znajduje w każdym domu, a oznaczony bywa dwoma zerami, w czasie przerwy, jaką pan prezydent zarządził, podczas posiedzenia Rady miasta, był już ktoś, kto widocznie przeczuł potrzebę znalezienia się na osobności bodaj na chwilę...

Ale zdarza się, że równocześnie może się w tem położeniu znaleść i dwoje...

Tak też było w tym wypadku...

Z sali posiedzeń wypadł jeden z radców i kieruje pospiesznie kroki w wiadomym kierunku...

Naciska klamkę — zamknięte...

I jakgdyby chciał się tłumaczyć, że przeszkadza temu, który tam się wcześniej znalazł, mówi:

— Przepraszam!... Sądziłem, że wolny!...

— O nie!... Tu Kosobucki!... — odezwał się głos z wnętrza.

Dziecko szczęścia i pechowiec

(Podsłuchane.)

— Powiadam panu, że ja mam takie szczęście w życiu, iż jestem pewny, że, gdybym był szewcem, ludzie rodziliby się z pewnością z cztema nogami!

— Mnie zaś, przeciwnie, taki pech prześladuje, iż nie wątpię, że, gdybym był kapelusznikiem, nie ulega wątpliwości, ludzie przychodziliby na świat bez głów!



Ballada o burzy...

Wypadł piorun z czarnej chmury;
Gnał go grzmotów ryk,
Aż do sieni wbiegło w trwodze
Dziewczę wielce szyk.

A do tejże samej sieni
Widząc niebios mrok –
Jakiś facet wylękniony
Zrobił także skok.

Grzmoty były bardzo wielkie,
Deszcz jak z cebra lał
I co chwila słychać było
Piorunowy strzał.

Błyskawice z końca w koniec
Nieba robiąc bieg,
Blask zlewały jak kaskady
Płomienistych rzek.

I w naturze była groza,
Drżał na drzewie liść,
Ptak nie śpiewał, człek zlękniony
Bał się z domu wyjść.

Wpośród takich okropności
Dziewczę czując strach:
Wybladłemi usteczkami
Wykrzyknęło – ach!

Facet, choć też wylękniony –
Na odwagę wziął
I chcąc pannę uspokoić —
Pogawędkę wszczął.

I rzekł: Pani, porzuć trwogę,
Usuń bladość z lic,
Bo piorunom jad odbierze
Konduktorów szpic.

Chmury nieba w dal popłyną,
Błyśnie tęczy róg
I przejdziemy trotuarem
Bez zmoczenia nóg!

A w tej chwili pioru strzelił,
Dziewczę zlękło się
I strach w jeden uścisk złączył
Młode dusze dwie.

Chmury zwolna w dal uniosły
Grozę strasznych burz;
Wyjrzał dryndziarz z pod Hawełki,
Wyjrzał z bramy stróż.

Spadły wody, na świat wyszli
Facet z panną szyk;
Facet błogosławił burzę
I piorunów ryk.

* * *

Była zima. Stróż zamiatał
Z trotuaru śnieg,
A do szynku bosy szewczyk
Po kminkówkę biegł.

Czasem strzelił słońca promień
Z ołowianych chmur
W rembrandowskich kapeluszach
Złocąc czuby z piór.

Na roraty szły majstrowe,
W knajpach flaków huk,
I reporter gubił liczbę
Połamanych nóg.

Biedy facet dnia jednego
Sam nie wiedząc skąd,
Przez szyk dziewczę wylęknione
Wezwan był przed sąd.

Wiele mówił tam adwokat
O markach i łzach;
W końcu facet alimenty
Zapłacił za strach.

I nie było już strwożone,
Młode dziewczę szyk,
Tylko facet przeklął w duszy
Piorunowy ryk.



Z listów Hermogenesa Klapy.

Londyn.

Kochana Redakcyo!

Już to mogę śmiało powiedzieć, miałem zawsze i mam dotąd ogromne szczęście do ludzi. Gdym był młody, pan profesor tak mię lubił, iż kilka razy prosił, abym rok jeszcze został w tej samej klasie. Swoją drogą uczyłem się dobrze, chciał więc, aby młodsi mieli wzór do naśladowania.

I dziś kochają mnie wszyscy; młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, a najlepszy tego dowód dał znowu Wilson, którego podobno pokręciła jakaś paskudna choroba, o ile można wierzyć *Kuryerkowi*, a to tylko z żałości, że tak rychło wyjechałem z Ameryki.

I Lloyd George, choć powiadają, że to mizantrop, zakochał się we mnie, wprawdzie nie tak ogniście, jak niegdyś Eulenburg w pruskich gwardzistach. W żaden sposób nie chce mnie puścić od siebie i byłby bardzo rad, gdybym zechciał osiąść na stałe w Anglii i tutaj się naturalizować, co nie jest połączone z żadną bolesną operacyą, jak naprzykład przy ubieganiu się o obywatelstwo Palestyny.

Cały dzień siedzę przy jego łóżku i wzajemnie wentylujemy politykę światową. Wybieraliśmy się razem na posiedzenie Ligi Narodów do Rzymu, potem na konferencyę do Spaa, zwłaszcza, że i ja mam pewne pretensye do odszkodowania ze strony Niemiec, gdyż swojego czasu oszukano mnie na trzydzieści siedm halerzy przy wymianie koron na marki.

Ale jemu kapie ciągle z nosa i t. d., wobec czego lekarz kazał mu siedzieć w domu. Pogorszyło mu się nawet, gdy się dowiedział, że pan Dąbrowski zdobył w dniu 30. kwietnia Kijów, bo to polityczni wrogowie.

Wobec tego miałem zamiar wybrać się do Krakowa na zjazd szewców, zapowiedziany na oba dni Zielonych Świąt, aby wygłosić referat, że, jeśli ceny za swe arcydzieła nie zniżą, zaczniemy chodzić bez butów, co, wedle teoryi Hoovera, będzie połączone z oszczędnością, a wedle X. Kneippa, z korzyścią dla zdrowia.

Sprzeciwił się memu wyjazdowi Lloyd George, musiałem mu być posłusznym. W rozmowie zauważył on raz mimochodem:

— Panie Clapson — tak mnie stale nazywa. — Pan masz w sobie coś angielskiego!... Czy nie pochodzi pan z angielskiej rodziny?

— Tego nie wiem — odpowiedziałem — w młodości jednak chorowałem na angielską chorobę, zjadałem stale dużo angielskich cukierków, na starość zaś wolę angielskie piwo i angielską gorzką...

— W takim razie to, jak się zdaje, musiało na pana wpłynąć tak dodatnio!... Pan chyba przyzna, że niema kultury nad angielską!

— Ja też dawałem zawsze wyraz mym angielskim sympatyom. Ile razy się skaleczyłem, zalepiałem ranę zawsze tylko plastrem angielskim, w poważniejszych słabościach ratowałem się Morisonem, a za ubranie z angielskiej materyi jestem dotąd winien memu krawcowi!...

— To ładnie!... To bardzo ładnie!

— Niestety!... Krawiec jest innego zdania, i kto wie, czy mnie już nie zaskarżył.

— Ja też nie do tego nawiązałem żeś winien, tylko, że sympatyzujesz z nami. Słyszałem, że pan jesteś dotąd kawalerem. Ożeń się pan z Angielką... Mam dla pana partyę!

— Bardzo żałuję, ale tak daleko me sympatye angielskie nie sięgają. Zresztą do Angielek nie mam nabożeństwa, bo chude i kościste, po większej części rude i piegowate, a co druga, to sufrażystka. Spokój domowy wziąłby dyabli za jednym zamachem!

— O nie!... Ta nie jest ani sufrażystką, ani rudą. Jest wyłysiała!... A że jest chuda, to tem lepiej. Mniej materyi wyjdzie na ubranie, a teraz taka drożyzna...

— Żałuję mocno, że z oferty nie skorzystam, ale już zapóźno!

— Owszem!... Widzę, żeś pan jeszcze, jak to mówią i do tańca i do różańca!

— W to i ja sam, Bogu dzięki, nie wątpię, ale właśnie sułtan pisał do mnie z propozycyą, abym się ożenił z jego kuzynką.

— I miałbyś ochotę?

— Co się tyczy ochoty, to mi jej nigdy nie brak. Zdaje się jednak, że bezpotomnie zejdę z tego świata, ale to w mym rodzie familijne. I mój ojciec był do śmierci kawalerem!

— Szkoda! Wielka szkoda, aby szlachetny ród Clapsonów miał na panu wygasnąć...

— I ja sam żałuję, ale cóż robić...

— Żeń się jednak przyjacielu...

— Aha!... Abyś mi pan powiedział po weselu, że jestem...

— O nie! Tego nie powiem! Wszakże ja sam jestem żonaty.

— Tak!... I dlatego chciałbyś i drugich wtrącić w to nieszczęście.

Na tem urwaliśmy.

Stosunki między nami stają się z dnia na dzień coraz serdeczniejsze, wypiliśmy nawet „bruderszaft", wprawdzie nie wódką, bo jej nie było pod ręką, ale gorzką wodą, i to nam obu zrobiło bardzo dobrze.

W londyńskiem towarzystwie jestem bardzo mile widziany. Każdy z lordów chciałby mnie mieć gościem u siebie. Żona jednego z nich tak się ostro zabrała do mnie, iż urwała mi połę od surduta, jak niegdyś pani Putyfarowa Józefowi z biblii.

Lordowie angielscy mają to do siebie, że chodzą na dwu nogach. Ja miałem swojego czasu *Lorda*, ale on chodził na czterech nogach (czasem tylko jedną w górę podnosił...) był czarny, z pod spodu żółto podpalany, i miał bardzo sympatycznie i z fantazyą zadarty do góry ogonek.

Byłem obecny na meetingu, urządzonym przez Anglików, mojżeszowego wyznania, z okazyi przyznania samodzielności Palestynie i uwolnienia Berdyczowa. Wygłoszono liczne mowy, niektóre nawet bardzo piękne, choć ich nie rozumiałem. W każdym razie wiem, że nawoływano do urządzenia nowej ofenzywy na Ukrainę, w tym wypadku w celach handlowych. Do Priluckiego, który jak wiadomo pochodzi z Berdyczowa, wysłano telegram gratulacyjny.

Król Jerzy przyjął mnie na specyalnej audyencyi w pałacu Buckingham. Ogromnie się ucieszył, dowiedziawszy się, że i mojej babce było na imię Wiktorya. Z tego powodu zamianował mnie właścicielem pułku strzelców szkockich, którzy, jak wiadomo, chodzą w spodnicach. Lloyd George twierdzi, że w tym kostyumie jest mi bardzo do twarzy, choć oglądał mnie tylko z tyłu...

Jak długo zabawię w Londynie, tego na razie powiedzieć nie mogę, w każdym razie spodziewam się wrócić do Polski jeszcze przed uchwaleniem przez nasz Sejm konstytucyi. W swoim czasie powiadomię o tem i doniosę, o ile wydarzy się coś ciekawego.

Tymczasem bywajcie zdrowi i nie zapominajcie o Waszym

Clapsonie.

Zjazdy w Zielone Święta.

W pierwszy dzień świąt radzili kamienicznicy z całej Polski. Wyrażano zapatrywanie, że są oni najbardziej przez los prześladowani. Minister skarbu, ustanawiając nowe podatki, które dotykają i kamieniczników, działa na ich niekorzyść i może się stać powodem, że pozbędą się pewnego dnia kłopotu, domy oddadzą bezinteresownie lokatorom, niech oni się martwią, a sami oglądną się za jakiem rentownem zajęciem. Na razie ma jeszcze zostać tak, jak było. Jednego z właścicieli realności, który oświadczył, że tak źle jeszcze nie jest, gdyż mogłoby być gorzej, na koszt *Związku właścicieli realności*, jako niepoczytalnego, postanowiono umieścić w Zakładzie dla nieuleczalnych.

But musi mieć parę, szewcy obradowali więc przez dwa dni i powzięli następujące rezolucye:

1) Ponieważ już słynny Apollo liczył się ze słowami szewca, przynajmniej jeden przedstawiciel tego zawodu powinien zasiadać jeśli nie w Radzie ministrów, to bodaj w Ministerstwie kultury i sztuki.

2) Wyraża się oburzenie z powodu zakazu sprzedaży alkoholu w niedziele i święta. *Blaumontag* z tego powodu przenosi się na wtorek.

3) „Szycie butów" bliźnim, w czem tak niektórzy gustują, ma być zostawione szewcom, jako jedynie do tego uprawnionym.

4) Używanie wyrazu „szewska pasya" jest o tyle dopuszczalnem, o ile stosuje się je do człowieka sławetnego cechu. Każdy zawód powinien się postarać o swą własną pasyę, a nie zabierać szewcom, co jest ich niezaprzeczoną własnością.

5) Sejm wyda ustawę, że każdy obywatel musi narazie sprawić sobie dwie pary butów i tylko tacy mają prawo wyboru i wybieralności. Szycie butów dla Naczelnika Państwa i ministrów odbywać się ma kosztem skarbu.

Równocześnie na Bielanach i Panieńskich skałach miały się odbyć zajzdy zakochanych, nie dopisały jednak z powodu niepogody. Mokra trawa nie jest przyjaciółką miłości, a Zielone Święta były w tym roku i zielone i mokre.

Fatalne omyłki druku.

Z fejletonu: Przed kościołem św. Barbary rzekła pani Katarzyna do swej kupy: „A toś się dziś wymydliła za wszystkie czasy!"

* * *

Z nowelki: Po wigilii otwarł ojciec drzwi salonu i pokazał dzieciom zadek.

* * *

Z powieści: Hrabstwo mieli znaną w okolicy psiarnię. Szczególniej podobały się wszystkim nogi pani hrabiny.

* * *

Z podręcznika lekarskiego: Należy u chorego wywołać koty, a potem dać środek nasienny.

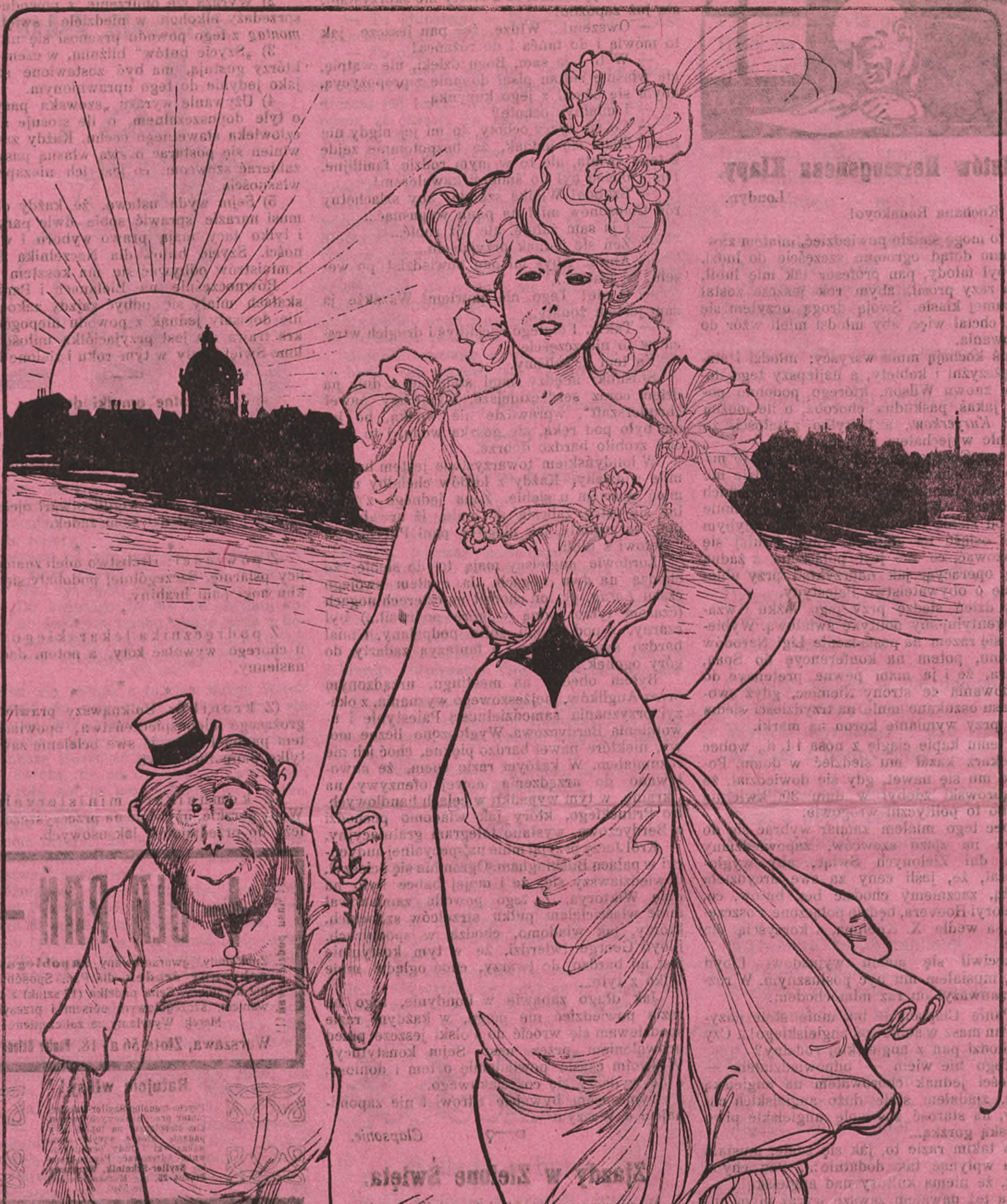
* * *

(Z kroniki): Uniknąwszy prawie cudem grożącego niebezpieczeństwa, opowiadała potem panna Frania, iż swe ocielenie zawdzięcza tylko panu Stefanowi.

* * *

(Z komunikatu ministeryalnego): Wody gorzkie, używane na przeczyszczenie, nie leżą do przedmiotów laksusowych.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Karczmarskiego.



Miłości ludzie zawsze będą radzi...
Kobietę — lada małpa poprowadzi!